

Pstryk.

Gdy był podrostkiem, stary zabrał go na obowiązkową wyprawę ojca i syna, po której z chłopca miał stać się mężczyzną. Przez tydzień łazili po lesie, udając kretyńskich skautów. Ciągłe pamiętał obrzydliwy smak mięsa z upolowanego kozła ledwie osmolonego nad ogniskiem i pierwszą noc spędzoną w szałasie. Nigdy wcześniej nie widział prawdziwej ciemności, nie miał pojęcia, jak może być głęboka. Słyszał pohukiwanie sowy, wycie kojota i chrapanie ojca, ale nie widział nic. W tej czerni nawet nie wiedział, czy powieki ma otwarte, czy zamknięte, a strach, że już nigdy nie zobaczy rzeczywistych obrazów, podsycił imaginację.

Pstryk, pstryk.

Ktoś bawił się w pana światła i ciemności. Ben ponowił próbę rozerwania węzłów zaciśniętych wokół kostek i nadgarstków. Obolałe mięśnie pulsowały niemocą.

Pokaż się, skurwielu – krzyczał z wściekłością, lecz głos tłumiała śmierdząca szmata zatykająca usta. Nie wiedząc, czy scena, na której się znalazł w tej chwili jest oświetlona, czy tonie w mroku, ponowił atak. Jedyne, co osiągnął to nasilone trzeszczenie krzesła, do którego został przytwierdzony niczym kukła do pala w sadzie Blacków. *Myśl* – nakazał sobie – *nie pajacuj, tylko myśl, wyplączesz się z tego i dopadniesz skurwiela.*

W niewielkiej mieścinie w New Hampshire wszyscy schodzili mu z drogi. Mógł robić co chciał, brał więc co chciał i kiedy chciał. Najchętniej cudze żony - świętoszkowate niunie chowające wdzięki w workowatych sukienkach z kołnierzykami. Wystarczało jedno spojrzenie a`la Rudolf Valentino i miękkie im kolana. Wsiadały do samochodu, nie wiedząc, że sen o romantycznych uniesieniach skończy się w opuszczonej stodole. Pierwsze uderzenie przyjmowały z niedowierzaniem, po drugim zastygały z przerażenia.

Przewiesiwszy przez drąg, za którym gniły resztki siana, zrywał bawełniane majtki. Wypięte tyłki wyglądały jak dynie patroszone na Halloween. Pochylony, wdychał kobiecą woń, płynącą z miejsca, na które bigoteryjni mężowie nie odważyliby się nawet spojrzeć, a gdy już niemal cała krew spływała do lędźwi, rozpinął pasek. Nie pozwalał krzyczeć. Krzyk zużywa zbyt dużo energii, a on wołał, jak każdy jej gram pożytkowały na usztywnianie ciała. Im mocniej spinały pośladki, tym on stawał się twardszy. Bezkarność gwarantowała mu gwiazda na piersi i szóste przykazanie. Grzeszyły, pożądając go, gdy w świeżo wyprasowanym mundurze defilował po chodniku, podczas gdy one pakowały zakupy do pickupów, a potem wracały do domu, by prac przepecone farmerskie ubrania. Zasługiwały na pokutę brutalnych pchnięć.

Pstrykanie przybrało na sile, przez co cichy do tej pory dźwięk nabierał mocy rozsadzającej czaszkę. Próbował liczyć kolejne naciśnięcia wyłącznika. Zakładając, że serie zaczynały się przy zapalanej żarówce, liczba parzysta oznaczała, że jest jasno i skurwiel, który go obserwował, napawa wzrok widokiem bezsilności.

Siedemnaście i cisza. Coraz dłuższa, przynosząca ulgę i złowroga zarazem. Kroki.

Czego ode mnie chcesz? Kim jesteś? Ostatnie, co pamiętał to zatłoczony bar, do którego wstąpił po za-

kończeniu służby. Od przeprowadzki do Baltimore, co wieczór wypijał drinka, żeby osłodzić sobie utratę władzy absolutnej i kolejki zaciśniętych wstydem cipek do spenetrowania. Szarpnął się w desperackiej próbie odzyskania kontroli nad własnym ciałem, lecz zaraz znieruchomiał, poczuwszy na policzku zimne dotknięcie stali. Wyobraźnia podsunęła obraz twarzy zeszczonej bliznami. Podczas gdy ostrze odcinało kolejne guziki zwilgotniałej koszuli, tysiące mrówek przebiegało wzdłuż kręgosłupa, by rozpocząć żer w pachwinach. Rozproszyło je kopnięcie w krocze. Automatycznie zgiął się wpół, nie zważając na sznur ocierający kolejne warstwy naskórka. Haust powietrza przefiltrowanego przez szmatę cuchnącą olejem silnikowym, wywołał mdłości, lecz najgorsza była świadomość, że ktoś manipuluje przy rozporoku. Zaciśnął niewidzące oczy w oczekiwaniu na zetknięcie noża ze skurczonym członkiem. Wyobraził sobie rękojęść. Nie wiedzieć czemu, był przekonany, że została wyrzeźbiona z kości słoniowej, a zwieńcza ją srebrna łożka połyskująca równie złowieszczo, jak ręcznie kuta klinga.

- Boli cię, Ben?

Bardzo cię boli, Ben? Siedział na szkolnym boisku i jedyne co czuł, to wdzięczność do Phila za rozbity nos. Panna Lucy Green, nauczycielka angielskiego, pochylona nad jego twarzą, rozsiewała niebiański zapach wody różanej. Biała bluzka opadła, odsłaniając piersi uwięzione w biustonoszu. Falowały niczym łany zboża targanego wiatrem. I były tak blisko. Pulsowanie w spodniach stało się nieznośne, jakby nagle musiał zrobić siku. Uciekł, zawstydzony. Potem widział ją w lesie, wtedy na wycieczce z ojcem. Zupełnie naga, stojąc w rozkroku, opierała ręce na powalonym konarze, a facet ze spuszczonej do kolan spodniami, nacierał na nią od tyłu. Jęczała, gdy ścisnął białą pierś, tę samą, której on nie śmiał dotknąć. Ukryty za drzewem pocierał krocze, aż poczuł ulgę, oblepiającą slipki z Kaczorem Donaldem.

- Mnie też bolało. – Znał ten głos. Mary, słodka Mery z księgarni. Jej jednej nie potrafił zmusić do milczenia. Im mocniej tłukł, tym głośniejsze krzyczała. Zatapiał zęby w jędrnym tyłku smakującym mydłem kokosowym, nie bacząc, że zostawia ślady. – Wiesz? Od dziecka lubiłam czytać. Idąc do łóżka, wyobrażałam sobie, że jestem bohaterką romansu. Banalne, co? Ale takie właśnie są małomiasteczkowe panienki. Banalne i skromne. – Melodyjny głos roznosił się w panującej wokół ciszy mąconej jedynie dźwiękiem rozcinanej nogawki. – Nie potrzebują wiele, żeby były szczęśliwe. Ja byłam, aż do tamtego dnia. Pamiętasz? Padał deszcz, mój samochód nie odpalił. Stałeś w pobliżu, zaproponowałeś, że podzuczysz mnie do domu. – Och, Ben, to było tak dawno temu, w międzyczasie tyle rzeczy uległo zmianie. Oprócz jednego. Nadal lubię czytać. – Zamilkła na chwilę, mocując się z pogrubianymi szwami przy rozporoku. – Nienawidzę cię za to, co mi zrobiłeś. – Przecięła gumkę od bokserów i musnęła obnażone jądra, jakby czułym gestem chciała złagodzić ostrość wyznania. Jej oddech osadzał kojącą wilgoć między udami. – Louise, moja ulubiona bohaterka, na urodziny dostała od męża ogromny kielich wypełniony szampanem. *Wejść do niego*, powiedział, *prawdziwym prezentem będzie twoja uwolniona fantazja*. Zamykam oczy i staję się powabną Louise. Mam na sobie rubinową suknię, wstępuję po drabince wyścielonej aksamitem i zanurzam rękę. Małe bąbelki zaczynające swój bieg w głębi kielicha, osiadają na skórze, nabieram je w złączone dłonie. Piję, pozwalając, by cienkie strużki ściekały w dekolt, a potem sięgam po drugą porcję i unoszę ponad głowę. Rozłączam dłonie. Szampan splywa wzdłuż ramion, moczy materiał przylegający do piersi, zmywa zapach perfum. Mąż obserwuje mnie wzrokiem zamglonym z pragnienia. Zdejmuję atlasową szpilkę i zanurzam w musującej cieczy, opadając, ciągnie za sobą czerwoną smugę. Wchodzę. Jedwab tworzy na powierzchni ciemniejszą plamę, krępuje ruchy, gdy wiruję wokół siebie. Przytulając policzek do mokrego ramienia, zlizuję cierpkie krople. Zsuwam ramiączka, suknia opada, pozostawiając na skórze dreszcz subtelnej pieczyoty. Układam się na dnie. Ciało pokrywa koronka lśniących bąbelków. Umykają spod dłoni, a na ich miejsce napływają kolejne. Uda oplątuje rubinowa czerwień. Zgiętą nogę opieram na krawędzi naczynia, unoszę biodra. Drobiniki diamentów osiadają na ciemnych włoskach, na-

dając im bajkową poświatę, wypełniają wolne przestrzenie, łaskoczą wewnątrz. Opuszkami kciuka obrysowuję kontur piersi, ulatujące pęcherzyki pozostawiają wyraźny ślad. Zataczam coraz mniejsze kręgi, by odsłonić zmarszczony lubieżnie sutek. Wsuwam palce w śliski środek, rozedrgane mięśnie wciągają je głębiej i głębiej. – Każde słowo otulało ciepłem główkę pochopnie odrzucającą osłonę napletka. W jądrach buzowało podniecenie tak silne, że w każdej chwili mógł eksplodować prosto w usta, które nie milkły. – Zgadnij, co zrobiła Louise? Wylewając na twarz męża szampana przyniesionego w atlasowym buciku, rozkazała: teraz zerznij mnie jak dziwkę. Niegrzeczna jest, co? A ja? – Pytanie zawisło w naelektryzowanym powietrzu. Usłyszał jak Mary podnosi się z kolan i okrążywszy krzesło, przystaje tuż za jego plecami. – Na urodziny dostaję ciepłe koszule, żebym nie marzła. Tylko, że ja już nie marznę! – Gorący język zapląsał na krawędzi ucha. – Och, Ben, myślisz, że po wspólnie odmówionym pacierzu mogłabym poprosić męża, żeby zerznął mnie jak dziwkę? Jest taki duży, nie wchodzi nigdy do końca. Żeby mnie nie skrzywdzić. A ja... ja pragnę czuć jak wysysa krew z pokąsanych brodawek, zaciska ręce na opuchniętym gardle, jak przebija się do trzewi, waląc w pośladki stwardniałymi jądrami tak mocno, że węzłowie uderza o ścianę, aż spada obraz Dziewicy wiszącej nad łóżkiem. Chcę rozłożyć ramiona, by oderwać się od ziemi, frunąć tam, gdzie nie ma tlenu, gdzie oczy widzą tylko gwiazdy i ciemność, a grzechy toną w strumieniu spermy.

Nie mogę go o to prosić, ale ciebie mogę, prawda? Wiesz, że wtedy nie krzyczałam ze strachu. Ani z bólu. Obiecuj, że mi nie uciekniesz, gdy przetnę więzy.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

jasna69, dodano 09.09.2014 10:24

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.